NA NIEDZIELĘ

Dodatek bezpłatny do „Dziennika Bydgoskiego". Wychodzi co tydzień.

Nr. 23. | Bydgoszcz, niedziela 13 czerwca 1909. | Rok II.

Na niedzielę drugą po Świątkach.

Lekcya.

1 Jan III. 13—18.

Najmilsi! nie dziwujcie się, jeśli was świat nienawidzi; my wiemy, iżeśmy przeniesieni z śmierci do żywota, iż miłujemy bracią. Kto nie miłuje, trwa w śmierci. Każdy, który nienawidzi brata, swego, mężobójca jest. A wiecie, iż wszelki mężobójca nie ma żywota wiecznego, w samym sobie trwającego. W tem myśmy poznali miłość Bożą, iż on duszę swą za nas położył; i myśmy powinni kłaść dusze za bracią. Ktoby miał majętność tego świata, a widziałby że brat jego ma potrzebę, a zawarłby wnętrzności swe przed nim, jakaż w nim przebywa miłość Boża? Synaczkowie moi, nie miłujmy słowem, ani językiem, ale uczynkiem i prawdą.

Ewangelia.

Łuk. XIV. 16—24.

Onego czasu powiedział Jezus Faryzeuszom tę przypowieść: Człowiek niektóry sprawił wieczerzę wielką, i wezwał wielu. I posłał sługę swego w godzinę wieczerzy, aby powiedział zaproszonym, żeby przyszli, boć już wszystko gotowe. I poczęli się wszyscy społecznie wymawiać. Pierwszy mu rzekł: Kupiłem wieś i mam potrzebę wynijść, a oglądać ją; proszę cię, miej mię za wymówionego. A drugi rzekł: Kupiłem pięć jarzm wołów i idę ich doświadczyć; proszę cię, miej mię za wymówionego. A drugi rzekł: Żonęm pojął, a przeto nie mogę przyjść. A wróciwszy się sługa oznajmił to Panu swemu. Tedy się gospodarz rozgniewawszy rzekł słudze swemu: Wynijdź rychło na ulice i uliczki miasta; a ubogie, i ułomne, i ślepe, i chrome wprowadź tu. I rzekł sługa: Panie, stało się, jakoś rozkazał; a jeszcze jest miejsce. I rzekł Pan słudze: Wynijdź na drogi i opłotki, a przymuś wnijść, aby mój dom był napełnion. A powiadam wam, że żaden z onych mężów, którzy są zaproszeni, nie ukusi wieczerzy mojej.

Nauka.

Zdarzyło się kiedy niekiedy, że ten lub ów z faryzeuszów zapraszał Pana Jezusa na ucztę. Pan Jezus korzystał z takich sposobności, żeby i faryzeuszów pouczać i dopomagać im do zbawienia. Przy jednej takiej uczcie mówił im Pan Jezus w szczególności o niebie i szczęściu wiecznem, a mianowicie o zasłudze karmienia ubogich. Na to jeden z obecnych rzekł mu: Błogosławiony, który będzie jeść chleb w Królestwie Bożem. W odpowiedzi na to słowo opowiedział Pan Jezus przypowieść, którą mamy w dzisiejszej Ewangelii. Odnosi się ona na pierwszem miejscu do nieba, ale Kościół św. zwykł ją też stosować do Przen. Sakramentu, czyli do stołu Pańskiego. I słusznie, bo jak od przystępowania do Stołu Pańskiego, tak też od kwapienia się do nieba, ludzie w ogóle, a w szczególności ci, co przed innymi są powołani, się wymawiają, nie bez wielkiej ujmy dla gospodarza niebieskiego.

Wezwani są przed innymi do pracy około własnego zbawienia, oraz też do częstszego przyjmowania Komunii św. tacy co mając jakie takie dostatki, nie potrzebują wciąż pracować na kawałek chleba, więc więcej mają czasu i wolności, żeby dbać o dobro swej duszy. O takich jednak, niestety, Pan Jezus zmuszony powiedzieć: poczęli się wszyscy społecznie wymawiać. Nie należą oni wprawdzie do rzędu tych, o których mówi Paweł św.: Nie mylcie się, ani cudzołożnicy, Sodomczycy, ani złodzieje, ani łakomi, ani pijanice, ani złorzeczący, ani drapieżce nie posiędą Królestwa Bożego. Nie, to przynajmniej są, po światowemu mówiąc, wcale porządni ludzie; złego może niewiele robią, ale dobrego jeszcze mniej, bo i wogóle mało robią. Przytem to wcale grzeczni i dobrze wychowani ludzie, więc i dla Pana Boga zachowują pewne ugrzecznienie i formy światowe; wszyscy gładko się tłumaczą, a na trzech z pewnością dwóch bardzo uprzejmie Panu Bogu się wypraszają: proszę Cię, miej mię za wymówionego. Racye, jakiemi się tłumaczą, są także wcale przyzwoite; przynajmniej niema w nich nic wyraźnie złego. A jednak gospodarz na nich się rozgniewał, a to tak bardzo, że zapowiada: że żaden z onych mężów, którzy są zaproszeni, nie ukusi wieczerzy moje. Dla czego? Bo aby dostać się do nieba, nie wystarcza być człowiekiem porzą-

dnym, zacnym po światowemu: potrzebneć to i pożądane, ale tego za mało! potrzeba nad to, i to koniecznie być chrześcianinem, t. zn. człowiekiem z przekonania i z dobrej, szczerej woli trzymającym się wszędzie i zawsze, w życiu prywatnem tak samo, jak i publicznem tej zasady: Szukajcież najprzód Królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a inne wszystko przydane wam będzie. W stanach przez Pana Boga uprzywilejowanych, bo nad innych wywyższonych, niestety, mało tylko bywa chrześcijan prawdziwych. Amen.

Boże Ciało.

Już ołtarze po ulicach,
Stawia młódź z warsztatów,
Pełno wokół aksamitów,
Pełno świeżych kwiatów.

Od jarzących pozłotowin
Lśni dzielnica cała,
Bo to dzisiaj wielkie święto:
Dzień Bożego Ciała!

* * *

Pod złocistym baldachimem
Idzie kapłan siwy,
W modłach wiąże ziemię z niebem
Złotemi ogniwy.

Zawarczały głośne bębny,
Słychać rzewne śpiewy,
Tłum się z szumem zakołysał,
Jak pod wiatrem krzewy.

A dziewczątka w bieli całe
Sypią wonne kwiatki,
Z dumą w sercu, z łzami w oczach
Patrzą na nie matki.

Las chorągwi wszystkich cechów
Mieni się na wietrze
I potężna pieśń prastara
Leci przez powietrze.

* * *

Warta szepce cichy pacierz,
Niosąc fale szare,
Ona dzieli z grodem całym
Dawną szczerą wiarę.

Już się kończy dzień radosny,
Mrok na miasto spada,
Na błękicie księżyc wschodzi,
Przy nim gwiazda blada.

A po domach światła płoną,
Gwarzą młodzi, starzy —
Któż odgadnie, któż zrozumie
O czem serce marzy?

Taka cisza dookoła,
Taka moc miłości,
Jakby Bóg sam zeszedł z nieba
Na tę ziemię w gości...

Obmowa.

Obmowa jest wyjawienie z dodatkiem przed przyjaciółmi, znajomymi, wad, które w drugich spostrzegamy. Rodzi się zazwyczaj ze zbytniego zaślepienia w sobie, a nazbyt bystrego oka na drugich. Nic łatwiejszego, jak przyzwyczaić się do niej; bawi i niewyczerpanem jest źródłem rozmowy; a tem niebezpieczniejsza; że chociaż z początku prawie niewinną się zdaje, z występkiem graniczy!

Osoba lubiąca obmawiać, kiedy już nie znajdzie w znajomych swoich, wad i postępków do wyśmiania i naganienia, z swojej głowy im różne zaocznie przypisuje błędy, a postępując coraz dalej, potwarcą zostać może!... Samo to nazwisko wskroś serce przenika... i trudno wierzyć, iż są na świecie istoty czyniące sobie igraszkę ze szczęścia bliźniego. Mówią o rzeczach, których nie widziały, obwiniają o występki, których świadkami nie były, i zdaje się, iż chcą zagubić i zatrzeć cnoty będące na ziemi, zapewne dlatego, że ich w sobie nie widzą.

Nie łatwo zapewne zamilczeć zupełnie wad, które w drugich spostrzegamy; ludzie tak są niedoskonali, że nie wspominając nigdy o ich błędach, małoby słów można wyrzec; i nie wiem, czyby podobna ofiara w mocy, i z korzyścią była człowieka. Lecz na cóż chwytać skwapliwie najmniejszy cień błędu? dlaczegóż najniewinniejszy bliźniego postępek na złą tłómaczyć stronę, i w obmowie największe mieć ukontentowanie? Wolno widzieć cudze ułomności, bo nie można zamknąń oczów; wolno ubolewać nad niemi, mówić o nich z osobami ukochanemi, korzystać z wad obcych, aby samemu podobnych unikać; lecz nie wolno ich powiększać, gadać o nich bez potrzeby, i z takim zapałem, jakbyśmy sami doskonałymi byli; nie wolno naśmiewać się z kalectwa, ułomności, wieku: bo te są przyrodzenia, albo nieszczęśliwego trafu, a nie ludzi dziełem. Nie wolno dlatego, że nam Bóg dał więcej niż drugim światła i dowcipu, nadużywać tych darów, a zapominając zupełnie delikatności, dać im czuć wyższość naszą, i wytykać ich słabości.

Dobra dziecina.

Było ich pięcioro malców w biednej rodzinie a wszystko drobne, bo najstarszy liczył zaledwie dziewiąty rok życia. Matka od dawna spoczywała w grobie, a biedny ojciec, choć ciężko pracował, zarabiał zaledwie tyle, że na chleb starczyło. Przyszedłszy o zmierzchu do domu, rozdzielał strawę pomiędzy dzieci, zostawiając dla siebie najmniejszą cząstkę.

Pewnego wieczora Józio, najstarszy z pięciu braci, ułamał kawałek chleba, mówiąc:

— Jestem dziś niezdrów ojcze; proszę zjedz resztę mego chleba.

— Czyś chory, biedaku! — zapytał skło-otany ojciec. I ten człowiek, silny przy pra-y, twardy w cierpieniu, rozpłakał się rzewnie, iląc do piersi małego Józia.

Ach, bo tak bardzo kochał swoje dzieci.

— Co tobie, powiedz? — zapytał znów ialca.

— Nic mi nie będzie, ojcze — wyjąkał ózio — tylko dziś jeść nie mogę; może lepiej, e się położę.

Troskliwy ojciec zaniósł go sam do łóżecz-a, a niespokojny o zdrowie syna, pobiegł na-ajutrz rychło rano do lekarza, aby z litości dwiedził małego pacyenta.

Lekarz był człowiekiem zacnym i litości-vym dla biednych ludzi, pospieszył więc do óżka chorego Józia. Po zbadaniu jego zdro-via, orzekł sumiennie, że choroby żadnej nie auważył, tylko wielkie osłabienie, na które amierzał zapisać lekarstwo.

— Ach, panie doktorze, odezwał się mały lózio — proszę nie zapisywać lekarstwa; ja tak zażywać nie będę.

— Cóż to chłopcze, lekarstwa nie chcesz ażywać! A to dla czego?

— Dla czego? — odparł malec — proszę ie pytać mnie dla czego, bo nigdy tego nie oowiem.

— No, proszę cię Józiu; przecież nie bę-dziesz niegrzeczny! Cóż to za grymasy!

— Zaręczam panu doktorowi, że to nie grymasy.

— Nie chcę cię zmuszać do powiedzenia mi twojej tajemnicy, ale zapytam ojca, co to ma znaczyć.

— Tylko nie ojca — zawołał zatrwożony chłopiec. — O, błagam na wszystko, niech pan doktor nic nie mówi. Wolę już... powiedzieć panu doktorowi. Otóż... my... jesteśmy bardzo biedni; mój kochany ojciec tak ciężko pracuje, a nie ma czem głodu zaspokoić. Postanowi-łem więc sobie nie jeść i udawać chorego, żeby tylko ojciec i bracia moi mieli więcej strawy.

— A czyś nie głodny wcale? — zapytał lekarz.

— O, bardzo głodny, ale zato oni mniej głodu cierpią. Może niedługo umrę, to w nie-bie gorąco prosić będę Boga, aby ojcu dał wię-cej chleba. Widzi pan doktor sam, że ja le-karstwa nie potrzebuję. Wolałbym, żeby pan doktor poprosił do mnie jakiego księdza! Wy-spowiadałbym się z mego kłamstwa; ksiądz wysłucha mnie i rozgrzeszy. Umrzeć w grze-chu nie chciałbym za nic w świecie!

Lekarzowi łzy stanęły w oczach, a nie chcąc pokazać swego wzruszenia, wyszedł prędko z pokoju.

Nie przysłał jednak Józiowi księdza, tylko kosz pełen żywności.

W kilka dni później, spotkawszy ojca do-brego chłopca, poczciwy lekarz zaczepił go mówiąc:

— Pozwólcie mi wziąść Józia na wycho-wanie; on nam obydwom szczęście przyniesie: Wam, jako ojcu, ulgę, bo przecież łatwiej wy-chować czworo aniżeli pięcioro dzieci, a ja będę szczęśliwy, że przyjmę na syna chłopca, który ma tak dobre i szlachetne serce.

Jamataka.

(Bajka japońska).

U stóp góry Fusijama, ukryty w cieniu długoigłych karłowych sosen stał maleń-ki domek papierowy, w którym mieszkała kobieta nazwiskiem Jafusima. Miała ona syna imieniem Jamataka, którego karmiła 6 lat, a przez drugie 6 lat pieściła i psuła. Chłopak urósł duży i piękny. Włosy jego były jak grzywa karego konia, a ramiona silne jak u małpy. Gdy skończył 12 lat, poszedł na po-lowanie, zabrawszy łuk sprężysty i strzały lo-tne. A że ogromnie prędko chodził, jak gdyby go nosiły smoki ogniem ziejące białych wstręt-nych dyabłów, więc zaszedł daleko, daleko za srebrnym żórawiem, który płynął spokojnie po gładkim różowym niebie zachodu. Wreszcie żóraw zniżył lot i zapadł pomiędzy drzewami wiotkolistnych wierzb. Jamataka przyspieszył jeszcze kroku, wkrótce znalazł się nad pięknym i przezroczystym jeziorem, w którego wodach odbijała się pstra herbaciarnia z werandami przybranemi w wazony pełne hryzantem i pi-wonii. Ale żórawia ani śladu.

Ponieważ zachciało mu się pić, więc przy-pomniał sobie, że mu Jafusima dała kilka jenów, żeby nie był bez pieniędzy i postanowił napić się naparu wonnej herbaty.

Wszedł na werandę herbaciarni, postawił swój dalekonośny łuk w kącie i stuknął lekko w lakowy stół bambusową pałeczką, którą no-sił za pasem. Na to lekkie stuknięcie zjawiła się piękna Gejsza (dziewczyna posługująca w herbaciarni) w szacie koloru ametystu, hafto-wanej w blado złote sikory, igrające na gałąz-kach rozwijającej się brzoskwini. Nietylko że Jamataka nie widział nigdy w życiu żadnej Gejszy, ani wogóle żadnej dziewczyny,

Kompletnie zgłupiał, otworzył buzię, wy-trzeszczył oczy, no i nic.

Gejsza z uśmiechem, spytała głosem tak słodkim jak świergotanie szarego słowika:

— Czego żądasz Jamataka?

Chłopiec co prawda zupełnie zapomniał o herbacie, o żórawiu i wogóle o wszystkiem i nic nie odpowiedział. Jedno tylko ciągle po głowie mu galopowało, co to jest, co tak ubra-ne ładnie, i co ma taką jakąś buzię białą jakby śnieg na Fusijamie, a usteczka tak pąsowe jak zgnieciona wiśnia.

Gejsza widząc, że Jamataka jest wido-cznie z prowincyi, zapytała równie czarownym szczebiotem:

— Może Jamataka chce herbaty?

— Tak herbaty — odrzekł na pół przy-tomny Jamataka.

Gejsza znikła i za chwilę potem przynio-sła na lakowej tacce maleńką filiżankę przy-krytą maleńkim spódeczkiem.

Jamataka niezgrabnie wziął w palce spodeczek, aby go zdjąć z filiżanki i upuścił na lakową tackę, spodeczek pękł na kawałki, przewrócił filiżankę z wonną herbatą, która spłynęła po tacce na lakowy stoliczek a potem na czyściutką matę rozpostartą na podłodze.

Gejsza uśmiechnęła się, a usta jej były podobne wtedy do rozwijającej się pąsowej róży.

Z za papierowego parawanu rozległy się srebrne śmiechy.

Jamatyka wstał z maty, wziął łuk dalekonośny i czerwony jak kwiat maku chciał wyjść.

Gejsza słodkim szeptem rzekła:

— Jamataka zapłaci za herbatę, spodeczek i za matę.

Chłopiec wyjął wszystkie pieniądze, jakie mu dała Jafusima i oddał Gejszy.

Gejsza złożyła drąbne rączki na swoich dziewiczych piersiach i oddała chłopcu głęboki ukłon.

Jamataka szedł do domu długo, był spragniony, głodny i zmęczony, późno już było bardzo, gdy wszedł do chatki matczynej i zdjął chodaki skórzane Matka powitała go okrzykiem radości, była bowiem w obawie, że może się co złego na polowaniu stało.

Gdy jednak przyjrzawszy się synowi zobaczyła go zdrowym i całym, niebiański uśmiech szczęścia macierzyńskiego okrasił jej pomarszczone lica.

— Gdzieś był, coś robił — czy powiodło ci się polowanie?

— Nie zabiłem nic oprócz spodeczka.

— Jakto?

— No, zabiłem spodeczek?

— W herbaciarni nad wodą.

Zaraz musisz mi to opowiedzieć, ale tymczasem dam ci jeść boś pewno głodny i spragniony.

— O, tak mamo.

Więc Jafusima dała mu ryżu ugotowanego w pomidorowym sosie, kilka smacznych koników polnych smażonych w oleju rycynowym, a potem kilka omszonych puszkiem brzoskwin, które rosły tuż przy papierowym domku.

Jedząc soczyste i wonne brzoskwinie Jamataka, rzekł pełną buzią:

— Zupełnie jak Gejsza.

— Co jak Gejsza synku?

— Ano te brzoskwinie, ale Gejsza lepsza.
Jafusima się przelękła.

— Co ty synku mówisz?

— Ja mówię, że wolałbym Gejszę.

— A na cóż tobie Gejsza — przecież Gejszy byś nie mógł zjejść.

— Owa, dlaczego — owszem jabym Gejszę zjadł.

— Przecie Gejsza nie do zjedzenia, ty głuptasie, niech Budda ma cię w swojej opiece.

— A na cóż ta Gejsza?

— Hm, hm! żeby podawała herbatę — odrzekła.

Jamataka ziewnął głośno, potem przewrócił się na matę i usnął.

Na drugi dzień, gdy Jafusima obudziła się Jamataki już nie było, co gorsza, nie było kilkunastu yenów, które leżały we woreczku w szaleczce stojącej przy macie Jafusymy...

Od tego czasu w domku papierowem źle się działo. Chłopak przychodził późno do domu czerwony, podniecony, a oddech jego było czuć wódką ryżową. — Wszystkie wreszcie yeny, cały majątek matki, wyniósł chłopak do herbaciarni.

Gdy zrozpaczona Jafusima nie wiedziała co dalej robić, zdarzyło się tak, że przyszedł do niej żebrzący bonz, z włosami długiemi i białemi jak świńska szczecina, okryty tylko długiemi łachmanami, z nosem jak dojrzały pomidor, stanął w progu i monotonnym głosem powiedział:

— W imię Buddy proszę o jałmużnę.

Jafusima, która już dawno miała zamiar poradzić się jakiego pobożnego męża o to, co ma robić ze swoim synalem, ucieszyła się bardzo, widząc brudnego bronza:

— Pobożny mężu — rzekła — nie mam nic prócz tej złotej szpilki do włosów, weź ją jakkolwiek to jest szpilka, którą miałam we włosach pierwszy raz mego zamążpójścia, ale posłuchaj pierwej, co ci powiem — i zaczęła długo i szeroko opowiadać całą historyę swego syna od chwili odstawienia go od piersi.

Bonz schował szpilkę od włosów do piórnika bambusowego, przyłożył palec do czoła i myślał przez godzien 8 i pół, potem wyrzekł monotonnym głosem:

1) Dobry pisarz nigdy pióra nie wybiera, weź więc pierwszy lepszy kij bambusowy, byle dość gruby.

2) Przyłóż ten kij do grzbietu swego syna tyle razy, ile jest godzin w tygodniu, a mocno.

3) Zaprowadź swego syna do Tokio i oddaj do szewca.

W kilka lat później najlepsze buty w Tokio można było kupić u szewca, który nazywał się Jamataka. Szild jego sklepu przedstawiał prosty, dość dłngi, gruby bambusowy kij złocony: „Pod złotym bambusem“.

Humorystyka.

Dwie panie na rynku.

A.: I cóż, córeczki pani wychodzą za mąż.

B.: Gdzie tam, pani! Myślałam że bodaj jedną wydam.

A.: No? I trafił się kto?

B.: Trafił się zgłodniały facet, który był przyzwyczajony do wiktu po restauracyach i bywał teraz u nas i smakowała mu kuchnia nasza, bo kazałam słudze gotować najlepsze potrawy, aż się oblizywał tak chwalił.

A.: No?

B.: A on szelma zakochał się w kucharce i z nią się ożenił.

Drukiem i nakładem Jana Teski w Bydgoszczy. Redaktor odpowiedzialny Jan Szmańdaw Bydgoszczy.